

Nazywam Się Tekla Joanna Kunejko , urodziłam się w Kłaciach , w 1937 roku. Wywieźli mnie w 1949 roku 25 marca. Mieliśmy dużo - hektarowy majątek , rozparcelowany jeszcze w 1939 roku. Mimo wszystko okazało się , że ziemi mamy za dużo. W 1949 roku , kiedy zaczęto tworzyć kołchozy , przyszedli w nocy , przeczytali wyrok , dożywotnie zesłanie. Kazali się pakować , dali pół godziny czasu , co rodzice chcieli zabrać to oni nie pozwalali , właściwie mieliśmy tylko zimowe rzeczy , to co na sobie , kilka poduszek i bieliznę. Wywieźli nas furami wynajętymi ze wsi , na stację do Oran

Stamtąd takimi bydlęcymi wagonami , po kilkanaście rodzin w wagonie , zawieźli nas do stacji Usolje. Na podwórzu kazali czekać , do łaźni z zimną wodą. Później , po kilka rodzin wsadzili na górę samochodu i zawieźli do kołchozu Kułtuk , imienia Kałandaraszwili.

Zaraz pogonili nas do pracy , dawali nam zupę i chleb czymś posmarowany np: twarogiem. Jeśli było mięso to napewno koń zdechł czy krowa. W Kułtuku był kołchoz i można było przebierać ziemniaki albo jakieś buraki , które nazywaliśmy turnieps albo marchew , to można było jeść i za to nikt nie był karany.

Przywieźli nas do takiego dużego domu , gdzie był jeden duży pokój , było nas cztery rodziny: dwie po cztery osoby , dwie po trzy osoby . Stały tam drewniane łóżka i na tym się spało.

Zima była tam bardzo mroźna , czasami ptaki zamarzały w locie , były zimy do sześćdziesięciu stopni mrozu. Później wiosna i lato krótkie ale bardzo gorące. Latem kosiło się , grabiło i rzęło , mam nawet ręce od tego pokiereszowane.

Do 1957 roku byliśmy tam , wszyscy wyjechali do 1956 roku , na koszt Polski , my musieliśmy wyjechać na własny koszt , dobrze że ludzie pomogli , bo skąd by się wzięło pieniądze na cztery osoby. Wyjechaliśmy na zaproszenie mamy brata tu z Białegostoku , załatwianie zaproszenia trwało cały rok.

Ludzie nie wszyscy byli serdeczni i dobrzy , ale byli ludzie których się z przyjemnością wspomina , nawet jeszcze korespondujemy ze sobą. Bo to naprawdę dobrzy ludzie , tyle pomogli , bo czasem można było z głodu umrzeć. Czasami to chociaż mleka mrożonego kawałek dali , bo mleko mroziło się na całą zimę.

W 1957 , 4 lutego żeśmy stamtąd wyjechali , dali nam ciężarowy samochód ~~na~~ na stację , było wtedy 47 stopni mrozu , myśmy przyjechali tutaj 14 lutego.

Ja tam właściwie rosłam , przyzwyczaiłam się , dzieciństwo miałam w domu , a tam byłam już dorosła.

W Kułtuku było dużo rodzin ale oni pracowali za pieniądze. My dostawaliśmy za trudodzień raz do roku zboże. Kiedy nas zawieźli do Kułtuku , to było w nocy , na pierwszą kolację dali nam chleb , miód i twarog , to mówiliśmy tu głodu nie ma , a mówili że będziemy tu z głodu umierać. Na następny dzień to już tego nie było. Była lampa naftowa , było widno. Przez okna zaglądały dzieci , bo jak bandyci to może rogi mają.

Rówieśników było dużo , ale oni nie pracowali , ich rodzice pracowali. Rodzin w sowchozie było dużo zesłanych , nawet nasi krewni się odnaleźli , dowiedzieli się że jesteśmy , a sowchoz był może sześć ó kilometrów oddalony.

Bez lekarzy to byśmy z głodu pomarli , oni wołali na jakiś placek , bo oni mieli przydział mąki , to na jakieś placki czy ołatki zapraszali. Nam liczyli trudodni , była taka kantora jakby buchalteria. Po żniwach oddawało się co trzeba państwu , co zostało liczone i wtedy dawali zboże. Pracowało się od świtu do nocy , nie było dla dzieci żadnych ulg. Wolnych dni nie było , święta każdy wiedział kiedy są i każdy sobie świętował. W Kułtuku Polacy to była tylko nasza rodzina a reszta to Litwini.

Na środku była kuchnia , piec i na tym się gotowało po kolejki , można było postawić dwa garnki.



Najpierw trzeba załatwić drzewo i przywieść. Gotowało się wodę razem z kartoflami i tak się jadło. Potem się już zarabiało, był młyn i można było za opłatą zboże zawieść, chleb upiec.

Na Wileńszczyźnie była mamy siostra cioteczna jedna i druga i brat. Można było paczkę dostać i każdy co jakiś czas wysyłał. Najpierw trzeba było zgadnąć od kogo jest paczka, to wiedzieliśmy z listów, co jest w tej paczce. Chociaż te listy były napewno czytane, bo co było nieodpowiednio napisane to wykreślano i nie można było przeczytać. Można było zgadnąć co w paczce jest, kawałek słoniny, materiał, prześcieradło, bo można było tylko tyle. Listy można było wysyłać raz na miesiąc. W listach z Polski adresy były wykreślone, nie można było wiedzieć skąd jest list.

Jak się nie poszło do pracy (po śmierci Stalina się rozluźniło) to latem chodziło się do tajgi na jagody, chodziło się po dwanaście kilometrów. Zbierało się cały dzień, zbierało się podwa wiadra i można je było zawieść do Usolja i sprzedać szklankami po 4 rublu. Później kupić materiał i coś sobie uszyć.

Jesienią trzeba było wrywać brukiew i ja prawie zem dlałam. Okazało się, że zachorowałam na zakaźną chorobę szkarlatynę. Byłam w szpitalu cały miesiąc, zawieziona byłam na wierzchu ciężarówce, a to była późna jesień. Karmiono nas mianą (nawet słodką), na obiady była rybna zupa. Później nie pędzono już mnie tak do pracy, bo byłam bardzo słaba. Raz byłam w szpitalu w Sowchozie, bo tam też był szpital, chorowałam na zapalenie stawów, byłam cała spuchnięta i leżałam ponad miesiąc. Przed lekarzem była tam położona, robiła zastrzyki, była też pielęgniarką.

Warunki mieszkaniowe: były wszy bieliźniane i w głowach, pluskwy, pchły, tarakany i żadnych środków żeby je zlikwidować.

Po śmierci Stalina był większy luz i można było więcej zarobionego zboża sprzedać, kupić cukru i herbaty.

Po śmierci Stalina zaczęła się repatriacja , a my tylko dzięki zaproszeniu z Polski mogliśmy wrócić.

Po przyjeździe raz na tydzień przyjeżdżał komendant i sprawdzał czy tyle osób jest , czy nikt nie uchył. Po śmierci wykreślano. Po śmierci Stalina przyjeżdżał raz na miesiąc. W tym czasie umarło kilku zesłanych Litwinów. My wróciliśmy e w komplecie.

wywiad przeprowadzono:

22.03.1992 roku.

